

J. A. MITCHELL.

Ostatni Amerykanin

Urywek z dziennika *Kan Li'ego*, księcia *Dimf Ju-Chur* i admirała ma ynarki perskiej.

Przełożył (rd).

Gdy oczy jego padły na nią zadrżał z radości i wyciągnął ramię, by ją ująć. Wtedy to opowiedział mi o nadzwyczajnej przygodzie, jaką miał ubiegłej nocy; lecz przedtem jeszcze rzekł:

— Wiesz, książę, że nie wierzę w przywidzenie i dlatego nigdy ci nie opowiedział mej przygody, gdybyś nie znalazł tej szklanki. Z takiego racynia piłem zeszłej nocy, naczynia podanego mi ręką widma.

Zaśmiałbym się, gdyby nie był tak poważnym. Gdy chciałem usiąść przy nim rzekł:

— Skosztuj najpierw, panie, tych winogron, które zwisają z tego muru.

Uczyniłem to i ku memu wielkiemu zdziwieniu okazały się nadzwyczaj smaczne, lepsze niż przyswojone owoce w Persji, bardziej słodkie i delikatne, innymi od tych dzikich winogron, jakie mamy w ojczyźnie. Moje zdziwienie widocznie ucieszyło go i rzekł z uśmiechem:

— Te winogrona, mimo pozorów niemożliwości, istnieją, jeszcze bardziej absurdalnym jest moje opowiadanie.

I wtedy powiedział mi swoją przygodę.

O tem co Omar widział.

Wczoraj gdy noc zapadła i spieszył się z powrotem do „Testudo” upadł na bloki kamienne i zranił się w kostkę u nogi, ponosząc przytem jeszcze inne kontuzje. Nie mogąc iść pokulał ku tej właśnie budowli, aby oczekiwać w niej nadjeścia następnego dnia. Wycie wilków i innych dzikich zwierząt, które bląkały się po mieście, zmusiły go szukać schronienia wyżej na ruinach schodów. Gdy usiadł w kącie olbrzymiej sali uderzył jego nozdrza smakowity zapach winogron, znajdujących się obok jego głowy. Znalazł je nader smaczne i spożywał je z apetytem. Zaraz potem zapadł w sen, który trwał kilka godzin, bowiem, gdy się zbudził, księżyc stał już wysoko na niebie i głosy wilków się nie odzywały i cisza panowała nad miastem.

Gdy tak leżał, marząc, zajęty całkowicie swemi myślami, zauważył zwolna dziwne zmiany, które zachodziły w pokoju. Zdało się, iż pełen ornamentacji sufit rozciąga się nad pokojem, zwierciadła i pięknie pomalowane mury zwolna zajmowały miejsce bluszczu i pokruszonych cegieł. Słabe światło stawało się coraz i coraz silniejsze i wypełniło wreszcie pokój oślepiającym blaskiem.

Wtedy cicho pojawił się stół dziwacznej formy, na którym znajdowały się kwiaty i masa potraw; szkła i porcelany, jakby przygotowane na ucztę. Omar ujrzał poważnych mężczyzn z ogolonemi twarzami, którzy otaczali stół. Wszyscy byli czarno ubrani, a szaty ich miały trójkątne wycięcie na piersiach, dla okazania koszuli. Przekonał się on wnet, iż ludzie ci byli sługami. Gdy się im, zmieszany, przypatrywał weszły pamił inne postacie, które zajęły miejsca przy stole. Było ich około sześćdziesiąt mężczyzn i kobiet idących pod ręce; kobiety były bogato ubrane, nieznane dla Omara modą i błyszczwały od wielu drogich kamieni. Mężczyźni byli ubrani podobnie jak sługacy.

Jedli oni i pili śmiejąc się i przedstawiali barwny obraz. Omar wstał i powodowany ciekawością, której nie mógł pokonać — jest on zawsze lekkomyślny i nie wie nigdy co to strach — pokulał ku nim.

Biesiadnicy spoglądali nań z ciekawością, a obecność jego zdawała się ich mocno bawić. Jeden z uczulających, wysoki młodzieniec, o płowym wąsie zbliżył się do niego i podał mu delikatne kryształowe naczynie mieniącej się cieczy.

Omar wziął je od niego.

Młodzieniec wziął wtedy drugą czarę ze stołu i trącił czarę Omara, jakby witając się i rzekł słowa, które towarzyszył mój zrozumiał, mimo, iż przysięga, że nie znał tego języka. Oto one:

— Bardzo możliwe, że się spotkamy czwartego lipca.

I wychylił czarę z winem, Omar zaś poszedł w jego ślady.

Na to wszyscy uśmiechnęli się, jakby z powodu zachowania się mego przyjaciela, z wyjątkiem kobiet, których twarze mówiły więcej o współczuciu niż o wesołości. Wino uderzyło Omarowi do głowy i przedmioty obok niego zdawały się tańczyć i kręcić w koło. Naraz ozwały się tony fantastycznej muzyki i wtedy mężczyźni i kobiety zaczęły poruszać się lekko i rytmicznie. A on sam, gdy się poruszał w takt muzyki, miał wrażenie, iż mózg tańczy mu pod czaszką. Sam pokój poruszając się i drgając zaciemniał się i zwolna zniknął. Muzyka cichła i cichła, wreszcie ustała.

„I znowu nastała cisza, a księżyc z góry spoglądał na mury okryte bluszczem...”

Omar zwałił się, jak pijaczyna na podłogę i dopiero nasze nawoływania zbudziły go.

Tak brzmiało jego opowiadanie.

Jest on człowiekiem rozsądnym i nigdy nie kłamie — jednak wielka ilość spożytych winogron i gorączka ze złamanego członka jasno tłumaczą owe nocne majaki.

Mieliśmy dziś na obiad niedźwiedzia pieczęt.

Dzisiaj, koło południa, Mulai, drugi oficer, wyprzedził innych i wbiegł do wielkiej budowli, polując na zająca. Zeszedł on na dół do piwnicy, gdy naraz ujrzał bardzo blisko siebie niedźwiedzia, który powoli schodził po marmurowych schodach. Mulai nie jest tchórzem, lecz obrócił się i zaczął zmykać prędzej, niż kiedykolwiek w życiu. Niedźwiedź, widocznie skłonny do zabawy, postępował za nim w małym oddaleniu. Szczęśliwym trafem byliśmy blisko i dlatego zjedliśmy niedźwiedzia, nie zaś niedźwiedź Mulai'a w mrocznych kurytarzach hotelu „5 Avenue”.

17 maja.

Tropikalny upał pali nam płuca. Wyszliśmy rano zdecydowani do zostania przez całą noc na ziemi i zbadania północnej części miasta. Przechadzka po miękiej trawie była bardzo miła, lecz w miejscach niezakrytych cieniem, gotowaliśmy się jak ryby w garnkach. Widzieliśmy budynki znacznie wyższe od tego, w którym byliśmy onegdaj. Chcieliśmy je zbadać, lecz Omar zwrócił nam uwagę, iż pora jest za gorąca i lepiej będzie uczynić to w drodze powrotnej.

W północnej części miasta znajduje się wiele świątyń, których wysokie wieże, podobnie jak u piramid przechodzą w graniasty wierzchołek. Są one nad podziw dobrze zakonserwowane. Wnętrza ich za to okazały się mniej interesującymi. Abdul mówił, iż religja Amerykan nie miała specjalnych cech. Mieli oni wiele wierzeń religijnych o skomplikowanych i mało znaczących różnicach. Każda z sekt miała swą własną świątynię. Dla Persa są to cechy śmieszne — dla nich musiały to być rzeczy poważne. Jednego dnia w tygodniu schodzili się oni w swych świątyniach, księża odczytywali nauki moralne, po czem grali pieśni najeci muzycy. Po tem nabożeństwie rozchodzili się do domów, nie myśląc o kościele przez sześć dni. Abdul pouczył nas, że do kościoła chodziły też i kobiety.

Popołudniu przechodziliśmy przez szeroki park, który opuszczony zmienił się w bór gęsty; jednak widoczne są jeszcze miejsca alei¹⁾. Zachowała się alea z bronzowymi statkami, z których wiele jest niekniętych, wzbudzających wśród nas wesołość. W parku zgubiliśmy drogę nie mając jak na ulicach znaków orientacyjnych. Wyszło nam to jednak na dobre, zrobiliśmy bowiem niezwykle odkrycie. A było to tak:

Pokonani upałem zatrzymaliśmy się na wzgórku, by odpocząć. Gdy siedzieliśmy pod drzewami, zwróciłem uwagę na dziwne rzeźby, wyrzeźbione w bloku kamiennym, o który Omar się oparł. Były one zupełnie różne od tych, które już widziałem, a jednak były mi znane.

Zaczęliśmy je natychmiast studjować i odkryliśmy obelisk z egipskiego granitu, pokryty hieroglifami, o tysiące lat starszymi od najstarszych pomników w tym kraju.

Byliśmy całkiem serjo skonfundowani!

— Kiedyż to Egipcjanie najechali Amerykę? — zapytał Józef Hason z poważnym spojrzeniem, jakby starał się przypomnieć sobie datę tego zdarzenia.

— Żaden Egipcjanin nie słyszał o Ameryce. Ów obelisk ukończył 20 wieków nim pierwszy z Amerykan poczał ssać. Niewątpliwie przywie-

¹⁾ Mulik twierdzi, iż jest to „Central-Park” kilkakrotnie wymieniany w amerykańskiej literaturze.

ziono go tu jako kurjozum, podobnie jak my zawieźliśmy do Persji bronzową głowę Washingtona.

Po tym wyjaśnieniu Abdula długo oglądaliśmy pomnik.

Również podczas pobytu w parku wdrapał się na wielką wieżę, rozkoszując się malowniczym widokiem.

Ogrom miasta jest faktycznie niezwykle. O całe mile, w oddali majaczył się w rzece „Tifudo”, przedstawiając się jako punkt biały. Wokół, aż do kresów nieboskłonu ciągnęły się ruiny, ruiny i ruiny. Pełniejszego melancholijnego widoku nie widziałem w życiu. Błękitne niebo, jasne światło słońca, wonne powietrze i śpiew ptaków czyniły kontrastowo widok jeszcze smutniejszym.

Rozbiliśmy już namioty, aby przenocować, nie mogąc więc już dalej pisać. Niezliczona ilość owadów gromadzi się dookoła nas z nieprzejazdnym brzęczeniem i tnie nas mimo obrony. Są one trzykroć gorsze od zarazy.

Powiedziałem Abdulowi, iż jego teoria o istnieniu Amerykan jest bajką, dobrą dla tych, którzy nigdy tu nie byli. Żaden człowiek nie potrafił tu przeżyć drugiej nocy.

18 maja.

Godny współczucia Hason jest bardziej niż chory. Spotkał on ubiegłej nocy nieznane zwierzę, a klęska jego była haniebną. Zwierzę, ładne stworzonko, było podobne do kota, a Hason z rzadką odwagą zaatakował je.

Tego, co nastąpiło nikt z nas dokładnie nie zdoła opowiedzieć. A Hason! Słów brak! Nosi on z sobą zapach dość mocny, by całą prowincję zamienić w pustynię. Musieliśmy pozostawić go na ziemi i posłać mu nowe szaty.

Doprawdy, jest to kraj niespodzianek.

Nasze ręce i twarze cierpią jeszcze z powodu kąsających owadów, a wydaje się, że perfuma śmierdzącego kota nigdy nas nie opuści.

Abdul jest szczęśliwy. Znaleźliśmy mnóstwo metalowych bloków, z których najgorszy według niego, będzie klejnotem muzeum. Zostały one odkryte przez *Tali-u-Dina* w piwnicach wysokiej budowli; wszystkie były starannie poukładane na żelaznych półkach.

Objaśnienia, których nam udzielają o zwyczajach i obyczajach tego śmiesznego narodu, czynią je wysoko wartościowymi dla historyków.

Zdaje mi się, iż Abdulowi sprawia pewną przyjemność siedzenie na chłodnym pokładzie „Zółwia” i obserwowanie Hasona blądzącego po ruinach tu i tam.

19 maja.

Powietrze jest chłodniejsze. Ab-i-Ganu sądzi, iż burza zagraża.

Nawet Abdul jest nieco zmieszany figurą, jaką wczoraj przynieśliśmy na okręty¹⁾. Jest ona dobrze zachowana z barbarzyńskimi, jeszcze świeżymi kolorami. Znalezione ją stojącą w małym sklepiku.

Dlaczego Amerykanie czcili owe bałwany i dlaczego stawiali je w małych sklepach nie zaś w wielkich świątyniach — jest to dla nas tajemnicą. Nosi ona (owa figura!) d adem z piór na głowie, a skoro *wieczór siedzieliśmy* pałac na pokładzie rzekłem do Abdula, iż jest to może posąg amerykańskiego szlachcica. Na to otrzymałem odpowiedź, iż amerykańskie szlachty nie mieli.

— A Amerykanie wysokiej krwi? — zapytałem. — Czy nie posiadali oni tytułów?

— Ani tytułów, ni też wysokiej krwi — odpowiedział. — A ponieważ wszyscy mieli wspólne pochodzenie i przybyli do tego kraju tylko dlatego, by im się lepiej niż w ojczyźnie powodziło, wszyscy byli taksowani według swego bogactwa. Ponieważ ogromnie szanowali pieniądze, był to dla nich zadawalniający środek wyróżniania. Rezultatem tego było, iż rodziny, które posiadały przez kilka pokoleń bogactwa stały się prawie arystokratycznymi. Owa wyższa klasa poświęcała wiele czasu sportom i zabawom i wydawała wiele pieniędzy ponieważ ogromnie lubiała przepych. Ich intelektualizm był mizernym i mieli oni małe wpływy poza socjalnymi. Naśladowali oni manjery zamorskiej

¹⁾ „Drewniane figura” — była to rzeźba przedstawiająca Indianina w Ameryce podobne rzeźby częste i zdoła przeważnie drzwi sklepów z tytoniem i cygarami (Uwaga tłum.)